№ 36. Warszawa, dnia (28 Sierpnia) 9 Września 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:
kwartalnie . . **rs. 1**
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . **rs. 1.25**
półrocznie . „ **2.50**
rocznie . . „ **5.—**

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie** Kwartalnie **flor. 1.80,** Na prowincyi **flor. 2.20.** **w Poznaniu** kwartal. **mr. 3**, na prowincyi **3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; w **Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy: **Księgarnia Polska Wiktora Templowicza** w Poznaniu Hotel Francuzki. **Zmiana adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEN: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

KORESPONDENCYA.

Zakopane, 4 Września 1899 r.

(Dokończenie).

Wobec panującej w Galicyi nędzy, każde pismo musi być niezmiernie taniem, żeby mogło znaleźć prenumeratorów - tembardziej pismo dla wieśniaczek.

W chwili gdy to piszę, znalazł się już fundusz stałej zapomogi dla tego pisemka, obmyślono źródła, z których niemal napewno czerpać będzie można zasiłki — i cenę prenumeracyjną oznaczono bajecznie nizką: 20 centów rocznie. Pisemko wychodzić zacznie od Nowego Roku.

Ta sama wnioskodawczyni zaprojektowała także zorganizowanie popularnych odczytów z dziedziny hygieny, pedagogii i gospodarstwa domowego dla kobiet wiejskich. Prelegenci powinni starać się o pobudzenie swego audytoryum do pytań, tak, aby odczyt zmienił się powoli w pogadankę, wśród której wieśniaczki mogłyby otrzymać niejedną dobrą radę, wskazówkę, odpowiedź na nasuwające się im wątpliwości.

Zdaje się, że zorganizowanie tych odczytów będzie sprawą trudniejszą, niż założenie pisma. Tyle podobnych odczytów, ale z dziedziny historyi, przyrody i t. d. odbywa się w Galicyi, że brak już ludzi, którzy mogliby oddać im czas swój i pracę.

Imponujące wrażenie zrobiły sprawozdania z działalności kół kobiecych Towarzystwa szkoły ludowej w Krakowie i we Lwowie. Działalność to istotnie bardzo niepowszednich rozmiarów.

Z uznaniem przyjęto referat podnoszący kwestyę służących, przypisujący demoralizacyę tej klasy w znacznej części samym paniom, brakowi opieki, wyrozumiałości z ich strony i t. d. Przy końcu referatu podano wniosek, aby kobiety postarały się o usunięcie z galicyjskiej książeczki służbowej paragrafu 17. Paragraf ten daje chlebodawcy prawo wymierzania służącemu kary cielesnej. Wniosek został przyjęty. Kwestya służących, jak wiadomo, dostarcza zawsze kobietom materyału do długich rozpraw. I na wiecu było to samo. Odzywały się głosy dowodzące, że sługi wogóle są źle żywione, za mało używają snu i przeciążone są pracą, że niedbalstwo ich i lenistwo pochodzą często z tych właśnie źródeł, z niedomagania fizycznego, będącego skutkiem złych warunków życia. Inne głosy usprawiedliwiały panie, wykazywały, że niewłaściwe ich częstokroć obejście ze sługami nie pochodzi z braku uczuć humanitarnych, ale raczej ze złego zrozumienia praw własnych i obowiązków. Ostatnia z przemawiających wniosła, aby zebrane panie dały sobie słowo, iż będą się starały każda u siebie o poprawienie tych smutnych stosunków tak, by gdy za rok zgromadzą się znowu, mogły mieć sobie mniej do wyrzucenia, niż obecnie. Słowom tym przyklaśnięto gorąco.

Sprawom pedagogicznym poświęcono na zjeździe bardzo wiele czasu. Wymienię tu tylko ważniejsze i dłuższe referaty. Mówiono tedy o gimnastyce szwedzkiej, podnosząc wysoko jej znaczenie i doniosłość w wychowaniu fizycznem kobiety—o slöydzie (nauka zręczności), jako podstawie do rzemiosł. Slöyd stosowany powszechnie na półwyspie skandynawskim nie jest rzemiosłem, ale uczy dzieci zręczności, przyzwyczaja je do pożytecznej pracy. Przy sposobności dowiedzieliśmy się, że zakład slöydu powstać ma w tym roku w Lublinie.

Panna Niedziałkowska, przełożona gimnazyum żeńskiego we Lwowie, złożyła sprawozdanie z działalności tej pierwszej szkoły, przygotowującej kobiety do studyów uni-

wersyteckich. Wiadomo jaką trudność dla kobiet wstępujących do uniwersytetów stanowił brak odpowiedniego przygotowania. Dla przyszłych studentek trudność ta istnieć przestanie. Dwa jednocześnie prawie powstałe gimnazya z kursem odpowiadającym w zupełności programowi gimnazyów męzkich, dostarczą uniwersytetom maturzystek równie dobrze przygotowanych, jak młodzież męzka. Gimnazyum we Lwowie ma tylko sześć klas; ponieważ jednak przychodzące doń dziewczęta przeszły szkołę wydziałową lub przebyły parę lat na pensyi, sześć klas wyrównywa w zupełności ośmiu klasom gimnazyum męzkiego.

Po czterech latach nauki przełożona w tym roku poddała uczennice swoje egzaminowi. Egzamin trwał kilka dni. Profesorowie gimnazyum byli egzaminatorami. Na 21 uczennic, 19 zdało do klasy siódmej.

Gimnazyum w Krakowie ma tylko cztery klasy. Dzięki uproszczonym metodom uczenia, a także pracowitości uczennic, w ciągu tych czterech lat przechodzą one z łatwością ośmioletni kurs gimnazyum męzkiego. Jak zapewniała referentka p Golińska, dyrektor gimnazyum najpochlebniejsze daje świadectwo pracowitości i uzdolnieniu gimnazistek. Pierwszy zwłaszcza zastęp był pod każdym względem wyborowym. Gimnazistki czują, że powinny dorównać uczniom szkół męzkich, nawet przewyższyć ich. Pracują gorliwie, a większość ich wyróżnia się niepospolitemi zdolnościami w kierunku literackim lub innych.

Ożywioną niezmiernie dyskusyę wywołał wniosek p. Wierzbickiej, nauczycielki z okolic Lwowa. Młoda ta, pełna zapału osóbka, nakreśliła smutny obraz wychowania dzieci ubogich — zaznaczyła bardzo żywo, że nawet w sferach intelligentnych nie istnieje wychowanie, uwzględniające równomiernie rozwój fizyczny, umysłowy i moralny człowieka. Pokolenie współczesne — twierdziła—skarlało fizycznie, zwyrodniało moralnie, nie posiada siły woli, zapału, energii czynu. Niema do kogo przemawiać — serca nie zabiją. Wobec tego zażądała, aby zjazd kobiet uznał sprawy wychowania za najważniejsze ze wszystkich zadań społecznych, i aby zajął się zorganizowaniem towarzystwa pedagogicznego, które starałoby się wciągnąć w swoje szeregi matki i wychowawczynie ze wszystkich sfer, szczepić zdrowe pojęcia o wychowaniu w sferach ludowych, wydawać dzieła pedagogiczne, naznaczać nagrody za wychowanie hygieniczne i normalne dzieci i t. p.

Wnioski te, przedstawione w mglistej dosyć formie, wywołały jednak wśród zgromadzonych żywe zainteresowanie.

W dziale kwestyi ekonomicznych słyszeliśmy sprawozdanie z działalności szkoły koronczarskiej w Kańczudze, nowo założonej spółki handlowej chrześcijańskiej w Nowym Sączu, i zajmujący referat p. Golińskiej, podnoszący pytanie: dlaczego zarobki kobiet są niższe od zarobków mężczyzn.

Niepomyślne to dla kobiet zjawisko w części tylko przypisuje p. Golińska niższości fizycznej kobiet, w większości wypadków zaś małej dozie energii i samodzielności z ich strony, i brakowi ducha stowarzyszeń. Na taniość pracy kobiecej wpływa także okoliczność, że wiele kobiet nie szuka w pracy jedynej podpory swego bytu i swojej rodziny, ale uważa zarobek własny za dodatek jedynie do dochodów męża lub ojca. Pracownice tej kategoryi przyjmują pracę każdą, choćby najtaniej opłaconą, i obniżają zarobki innych.

Referat wypowiedziany z widoczną znajomością przedmiotu, zainteresował niezmiernie słuchaczki.

Popołudniowe posiedzenie ostatniego dnia zjazdu poświęcono głosowaniu nad wnioskami i odczytaniu listów i telegramów, które bardzo licznie z różnych stron nadeszły; między innemi od „Gońca Wielkopolskiego," od „Czytelni dla kobiet" w Krakowie, od różnych stowarzyszeń kobiecych w Galicyi, od Maryi Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej. Gorące słowa Konopnickiej powitano żywym oklaskiem. O wiele chłodniej znalazło się zgromadzenie wobec listu p. Orzeszkowej. Milczenie panowało na sali, przerywane tylko pojedynczemi oznakami uznania.

Zjazd zamknęła przewodnicząca hasłem: do pracy!

Prace zjazdu urozmaicane były zbiorowemi wycieczkami, podczas których uczestniczki wiecu miały sposobność zbliżyć się i poznać wzajemnie.

Na zakończenie, wieczorem odbyło się zgromadzenie towarzyskie, na którem znaleźli się i mężczyźni. Nastrój serdeczny, podniosły tego zebrania, na długo pozostanie w pamięci wszystkich tych, którzy w niem brali udział.

w.

PREMIÓWKA.

Epizod z naszych czasów.

PRZEZ

A. K. S.

(Dalszy ciąg).

Równie cicho i ostrożnie jak poprzedniczka jego zwinął bilet Kozera, i zamyślony szedł teraz ku grupie kolegów, szepcząc do siebie znowu:

— Głupstwo — nie głupstwo? Chyba nie głupstwo, bo właściwie mówiąc największem głupstwem, jakiego się dopuścić można w tym labiryncie, jest nie iść za jakąś wskazówką w tym rodzaju. Na znawstwo koni, na szanse wyścigowe, temperament, humor, stan nerwów konia rachować, jest chyba o wiele głupiej, niż na stosunek pieniężny między jakimś handlarzem tajemnic stajennych, a panienką tej domyślnej pozycyi, do jakiej się prawdopodobnie liczy panna Julia. Jużciż perfuma nie jest to wszystko, ale też na perfumy nie tutaj miejsce. Wreszcie—stało się! niema o czem myśleć.

Wniósł tedy między kolegów twarz swobodną zupełnie, chciał im coś niecoś wymijająco nawet powiedzieć, ale okazało się, że na tłómaczenia nie było czasu, bo ruch poprzedzający bieg już się rozpoczynał. Ożywienie jakieś czuć było dokoła, publiczność tłumniej spieszyła do kas totalizatorowych; w lożach, na galeryach, w trybunie nawet, rozprawiano i gestykulowano zawzięcie.

Młodzież nasza spojrzawszy na trzymany przez Kozerę program, rozpatrywała się w nim, ale ani nazwiska właścicieli stajen, ani niedorzeczne imioniska koni same przez się nie uczyły niczego nieświadomych. Widzieli, że wyścig był z kolei piątym, że koni stawało do niego osiem, ale jakie szanse miał każdy z nich, tego oczywiście odgadnąć nikt nie próbował.

Stanisław po części z ciekawości, a głównie żeby wynagrodzić koledze trud przez niego podjęty, zapytał:

— Pokaż-że nam, który to jest, co wiezie nasze losy?

— Nie wiem jeszcze sam, ale jak się rozejrzę—powiem wam.

— Więc wybierałeś tak na ślepo?

— Ja większą część spraw swoich załatwiałem w życiu na ślepo, a wierzaj, że one to właśnie stanowią tego życia biednego stronę najjaśniejszą jeszcze, co zaś do tej, to...

— No, ale w każdym razie pokaż nam konia, i powiedz o barwach jeźdźca, abyśmy wiedzieli za kim słać mamy nasze westchnienia.

— Zaczekajże... a ot, za tym jasnym kasztanem, który się zbliża ku nam.

— Chcesz powiedzieć, że wziąłeś bilet na tego dyabelca jakiegoś, który o mało nie wyskoczy ze skóry własnej, i którego prowadzi dwóch ludzi, a jakaś małpa trzecia przyodziana kurtką żółtą w fioletowe pasy, skrada się do niego z niezdarstwem stajennego chłopaka.

— Tak, to będzie chyba ten. Czy ci się nie udaje?

— Mieszczuchu! Tylko takiemu jak ty frycowi darować można podobnego bąka — wołał rozbawiony szczerze Stanisław. — Stajnia nieznana, szkapa obskurna, a jeździec typowy Maciek — niechże cię! Daj buzi, niedołęgo jeden.

— Ostrzegałem dzisiaj na rannych galopach, że ten waryat popsuje start do dziesiątego razu przynajmniej—mówiła jakaś poważa sportowa, mijająca w tej chwili naszych znajomych. — To nie można robić ludziom podobnego kłopotu. Nie zabawka żadna przecież...

— Ot masz kolega — mówił Fichten—to ci dopiero oceniają faworyta twego! przygotuj że portfel jaki, bo w żadną z naszych studenckich portmonetek nie pomieścisz wygranej.

— No, a gdybym was wypuścił ze spółki?—przedrwiwał Kozera—co do mnie, ja gotów jestem.

— I ja również — odezwał się Piątkiewicz.

— A ja...—zaczął Fichten — ale mu odrazu wpoprzek przejechał Stanisław.

— Dalibyście pokój! to się nazywa psuć uciechę. Ta gra, czy inna gra, to zawsze emocya... Wspólka stoi, i basta!

— Będą tu emocye — wtrącił drwiąco Bieluń.—Patrzajcie, co się tam dzieje.

W istocie przy starcie mięszały się konie; ruszały z miejsca i powracały, starter niecierpliwił się, rzecz przewlekała, ale w końcu

świadomy profesyi swojej pan pochwycił je w chwili, kiedy się zgrupowały jako tako, chorągiewka zamigotała, dzwonek zawtórował jej ruchowi, i niebawem cała kalwakata jak wicher zerwała się z przed oczu publiczności.

— A to jest emocya numer drugi—szydził w parę sekund potem Piątkiewicz, widząc, że kasztan odmawia skoku przy pierwszej przeszkodzie.

W istocie przy baryerze najbliższej trybuny, podczas gdy siedem koni pędziło już po torze, poza nią osławiony kasztan, naglony przez jeźdźca, powracał teraz, aby zyskać potrzebny rozpęd, i zażyty nareszcie ostrogą, przesadził przeszkodę, ale dokonał tego w każdym razie w chwili, kiedy tamci dobiegali już, o ile na oko sądzić było można, czwartej części obwodu toru. Strata na czasie była niewątpliwie ogromna—niepowetowana.

— No, próbuj jeszcze kasztan—szydzili po grupach rozmaitych ludzie.

— Próbuj, wprawa pozostanie ci w zysku. Odbijesz się na jesiennych wyścigach.

— Oh! jak teraz bez namysłu przesadził drugą—zwrócił ktoś uwagę.

— Ależ się wyciąga!—zauważył inny.

— A żeby on się rozciągnął nawet, to mu i to nie pomoże.

— Dajcie pokój, dyabeł nie śpi; bywało różnie.

— No tak, dyabeł nie śpi, ale co niepodobna, to niepodobna.

— Uważajcie, to jednakże pocisk w biegu—nie koń.

— A żeby on tam skrzydła miał u nóg, to na nic. Wyścig przechodzi poza połowę dystansu, a gdzie on.

— Trzymam za kasztanem! — odezwał się ktoś nagle, bo rzeczywiście nie dochodząc do trzech czwartych obwodu elipsy, kasztan zbliżał się z szybkością strzały do grupy, trzymających się równo mniej więcej, reszty koni.

— Pioruny! patrzaj kto może! — dopadł kupy!—schował się w niej! — nie widać nic...

Zrobiła się cisza taka, że słychać było przedwieczorowy pobrzęk komarów, a niebawem wyłaniać się poczęła z tumanu — zrazu mniej wyraźnie, a z chwilą każdą zwiększając odległość, żółta w fioletowe pasy kurtka żokeja, a pod nią wyciągnięte, niby płynące po nad powierzchnią ziemi, niby unieruchomione w natężeniu najwyższem zwierzę o roziskrzonem spojrzeniu, krwawych chrapach — zwierzę, które teraz jeździec trzymał w cuglach, pragnąc mu oszczędzić zbytecznego już wysiłku.

Wśrod szalonych oklasków, jakimi tłum witał nieoczekiwanego tryumfatora, znana nam grupka ludzi młodych przedstawiała widowisko całkiem odrębne — może nawet w tym wielkim tłoku ludzi zupełnie wyjątkowe. Cztery pary oczu młodych zwracały się teraz na Kozerę, każda z odmiennym wyrazem, a przeto i z różnemi zapewne uczucia mi.

Bieluń obserwował go ciekawie, tak jak gdyby w nim odkrył nowy rys charakteru, talent nieznany, a może siłę tajemną, dzięki której mógł on dokazywać rzeczy innym ludziom niedostępnych.

Piątkiewiczowi chodziło o to, jakimby sposobem, bez wyraźnego zblamowania się, zatrzeć można w pamięci obecnych jego ochotę wycofania się z hazardu, a Fichten, któremu Stanisław niedopuścił wypowiedzenia całej myśli, winszował sobie szczerze, że ma teraz pozycyę o wiele od Piątkiewicza awantażowniejszą, ba! nawet gotów był wmówić w siebie, że wogóle dzisiaj Kozery przymówkami wcale nie rozdrażniał. Tylko Stanisław jeden, po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, parsknął szczerym, serdecznym śmiechem, a zwracając się do zadumanego Kozery, z komiczną powagą wyrecytował:

— Cześć wszelkiemu dziełu ludzkiemu poczętemu w obłędzie.

— Teraz i zawsze i na wieki wieków—odpowiedział mu interpelowany, niezupełnie mogący się otrząsnąć ze swojej zadumy, w którą go pogrążył ten, trudny do wiary dla wszystkich, obrót sprawy.

— Ale o czemże ty myślisz czarowniku; wyglądasz tak, jak gdyby dokonanie tego, co się stało kosztowało cię naprawdę, a raczej jak gdyby ci nie zupełnie było po myśli.

— Ani jedno, ani drugie, tylko widzisz — mówił teraz powoli i z wahaniem Kozera — tak mi jakoś przyczepiło się do głowy nie spodzianie, że jeśli dawniej wierzono w hasło: *per aspera ad astra*, to dzisiaj możnaby nieledwie powiedzieć: *per turpia ad astra*, jeśli wogóle na wyżynach gwiazdowych stawia się to, co w danej chwili stanowi najwyższy szczyt pożądań ludzkich.

— Nie mogę powiedzieć, żebym zrozumiał—mruknął Fichten ironicznie.

— Przetłómaczone na język polski znaczy to, że wielki gościniec do zrobienia fortuny jest tak natłoczony, iż kto się tam chce dostać do końca, najlepiej zrobi, jak pójdzie przez ścieki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Świat pozagrobowy.

Wzmiankowaliśmy przed paru tygodniemi, że dziennikarstwo francuzkie upowszechniało nader skwapliwie wiadomość o wycofaniu się Kamila Flamariona z jego dotychczasowych badań w dziedzinie wiedzy okultystycznej, czy w dziedzinie spirytyzmu, jeśli kto woli. Flamarion zaprzeczył wieści; przyznał owszem w długiem i kategorycznem wyjaśnieniu, że zajmować go będzie nadal, jak zajmowała dotąd cała sfera zjawisk uznawanych przez ogół jako nadprzyrodzone, a dla lepszego zadokumentowania stanowiska swego wobec tych dociekań, ogłosił w jednym z przeglądów wyjątki z obszernej, właśnie w tych czasach do druku przygotowywanej, pracy. Przedmowę swoją do tego studyum kończy Flamarion temi słowy:

„Wierny niezmiennie zasadzie najściślejszej bezstronności, robię wszystko, na co mi pozwalają siły, aby zbadać istotę niezliczonej liczby objawów niepokojących wiele umysłów współczesnych, jestem bowiem najsumienniej przekonanym, że do tych objawów stokroć większą wagę przywiązywać należy, niż się wydaje tłumom. Zresztą ja zbieram fakta, a w gromadzeniu faktów nie może być nic szkodliwego ani grzesznego. Może przyszłość weźmie na siebie ich ugrupowanie, może wynajdzie ona nawet kiedyś słowo tej wielkiej zagadki, albo ostatecznie rozwieje nadzieje i obali wierzenia, którym się od wieków oddaje ludzkość."

Flamarion stawia kwestyę prosto, a mianowicie:

Czy śmierć jest końcem istnienia — czy zmianą tylko jego warunków?

Czy istnieją jakie dowody bytu istoty ludzkiej, po zniszczeniu jej organizmu fizycznego?

„Do tej pory, mówi on w dalszym ciągu, zagadnienia tak sformułowane nie podlegały dochodzeniom nauki, a więc pytamy, czy godziwem jest pokusić się o dochodzenia takie przy pomocy metody doświadczalnej, i czy usiłowania podobne nie przekraczają granic nakreślonych przez zdrowy rozsądek. Idzie tu przecież o tajnie świata niedostrzegalnego dla naszych zmysłów, niedostępnego badaniom pozytywnym, któremi się dotąd posiłkuje nauka. Co do mnie, przypuszczam, że usiłowanie zgrupowania pewnych zjawisk i faktów, nb. faktów obserwowanych z możliwie skrupulatną sumiennością i krytyką najsurowszą, nie byłoby bez korzyści."

Z takich, jak widzimy, założeń wyszedł Flamarion, przedsiębiorąc pracę, o której mówi. Drukował on już jeden jej fragment w „Rocznikach politycznych i literackich" przed paru miesiącami, i odebrał w odpowiedzi mnóstwo korespondencyi, w których czytelnicy komunikują mu fakta swoich ziszczonych przeczuć—snów, które im następnie potwierdziła rzeczywistość— działania zmysłów na odległość—zjawiania się umarłych w miejscach odległych w chwili zgonu, i różnych wogóle zjawisk i wypadków, które zdawały się godnemi uwagi i bliższego wniknięcia w ich istotę, a które wiedza materyalistyczna nietylko odrzuca, ale ignoruje stanowczo.

Było tam, wedle wyrażenia francuzkiego uczonego, wiele bardzo złudzeń, niepewności, hallucynacyi, wizyi, ale całość przedstawiała się interesująco i dawała w każdym razie do myślenia człowiekowi bezstronnemu.

Zechce łaskawie uwzględnić czytelnik nasz polski, że nie wkładamy w to sprawozdanie nic swojego, że albo reprodukujemy tekstualnie myśl autora, albo ją streszczamy z całą sumiennością, wszystko zatem, co poniżej powiedzianem będzie, przedstawia zapatrywania na te objawy Kamila Flamariona, który w każdym razie ma za sobą dosyć powagi, nauki, i sumienności, aby był wysłuchanym do końca. Otóż to, co powiedział we wstępie, uzupełnia w tych wyrazach, także dosłownie przez nas przytoczonych.

„Pomijam tutaj zjawiska natury telepatycznej, to jest przesyłanie np. na odległość przez umierających ich myśli i woli w chwilach zgonu. Fakta takie nie podlegają w zasadzie zaprzeczeniu dla nikogo z ludzi, którzy sobie zadawali trud obserwowania ich zbliżka. Oddziaływanie psychiczne jednego ustroju mózgowego na ustrój inny, jest tak niewątpliwem, jak oddziaływanie wpływów słońca i magnetyzmu na ziemię. Mam tutaj wszak-

że co innego na myśli — mam przed sobą w tej chwili kilkaset spostrzeżeń wiarogodności bezwzględnej, posiadających nadto charakter autentyczności naukowej, i o nich chciałbym pomówić właśnie.

Jeżeli przyjmujemy jako pewnik, że w warunkach danych śmierć jednej osoby może być na odległość oznajmioną innej osobie, to jednak nie ma dla nas równej cechy prawdopodobieństwa to wszystko, co dotyczy objawów zaszłych już po śmierci samej. I to jest właśnie punkt, na który zwrócić pragnie Flamarion uwagę całą czytelników swoich.

Niekiedy doświadczamy takiego uczucia, jak gdybyśmy w istocie pozostawali w dłuższym lub krótszym stosunku z ludźmi, którzy nie żyją. Czy to ma miejsce w stanie sennym, albo na jawie — czy słyszymy o tem, że dochodzi kogoś nagle głos osoby drogiej nie należącej do tego świata, albo że ten człowiek doświadcza uczucia jej obecności za pośrednictwem zmysłu dotyku, a choćbyśmy się dowiedzieli o odebraniu tych samych wrażeń za pomocą ewokacyi spirytystycznych, dość że zna każdy z nas pewną liczbę osób twierdzących z całem przekonaniem i dobrą wiarą, że doświadczały same tego rodzaju uczuć, że miały wrażenie podobne, albo że słyszały o nich od osób zupełnie zasługujących na zaufanie.

Otóż wobec takich twierdzeń radzi Flamarion:

Niczemu nie przeczyć z góry — ale i nie twierdzić tego, co jest nie dowiedzionem i sprawdzonem.

I tu przytacza autor pewną liczbę faktów mających na swoją obronę, zdaniem jego, niezaprzeczoną szczerość i prawdomówność osób, które je nadesłały.

Co do wytłómaczenia tych faktów, to Flamarion zostawia je przyszłości; tłómaczenie takie, taka odpowiedź przyjść może kiedyś, a może i nie przyjść wcale — przesądzać niepodobna. Dziś zajmuje go tylko zebranie ich bez objaśnień i komentarzy.

Tych jednakże przykładów i faktów, których wiele przytacza uczony francuzki, powtarzać za nim nie będziemy. Nie znaleźliśmy między nimi ani jednego wymowniejszego od tych, które podaje Perty w dziele swojem: „Tajemne zjawiska ustroju człowieka," ani tych kilku tysięcy, które angielskie współpracownictwo, przed kilku laty ogłoszone, upowszechniło drukiem. Owszem, gotowibyśmy powiedzieć, że to, co zebrał od pojedynczych osób Flamarion w tym kierunku, jest o wiele mniej wymowne, a niekiedy nawet blade zupełnie. Ograniczymy się więc tylko do pewnych wskazań ogólnych, które podaje, gdyż te uznajemy za bezwzględnie godne uwagi. Oto co mówi w tym względzie Flamarion:

„Gdy zjawisko ukazuje się wyobraźni naszej w stroju, w którym za życia nie widzieliśmy go nigdy, a który wedle świadectwa osób zupełnie wiarogodnych, służył mu jednakże w chwili ukazania się, w tym razie do wytłómaczenia faktu podobnego nie wystarcza ani hallucynacya, ani autosuggestya.

Jeśli zjawia się we śnie lub na jawie komuś człowiek niegdyś znany mu zblizka, a zmarły, i żąda zapłacenia zań długu, o którym ani żyjący, ani nikt z blizkich dotąd nie wiedział, nie możemy uważać tego faktu jako dającego się objaśnić jedną z hipotez dopuszczalnych w warunkach zwykłych.

Jeśli znajdujemy odbicie jakiejś postaci w zwierciedle, ślady jej stóp odciśnięte na ziemi, albo jej ręki na sprzęcie, daremniebyśmy tłómaczyli, że to jest proste, naturalne, powszednie lub przypadkowe.

Jeśli widzi, słyszy, lub uczuwa obecność tego, który nie żyje, nie jedna ale kilka naraz osób, nie możemy nazywać tego koniecznie hallucynacyą zbiorową, bo tych ostatnich możliwość stanowczo stwierdzoną nie jest. Zresztą wiele to zależy od osób, bo są ludzie, których o hallucynacyę bezwarunkowo posądzać nie można.

Fotografie zjawisk byłyby dokumentami nader szacownymi, gdyby ich pochodzenie wyższem było nad wszelkie podejrzenia.

Z wielką ostrożnością nazwać trzeba terminem: wizya, to czego doświadcza dziecko 3, lub 5 cioletnie, gdyż dziecko w tym wieku wyobraźni chorobliwie rozbudzonej nie miewa, a od posądzeń o tendencyjne kłamstwo wolnem jest także.

Zjawisko, które prowadzi ludzi do wykrycia tajemniczej zbrodni, nie może być nazwane hallucynacyą.

Kończy rzecz swoją Flamarion wezwaniem do czytelników o dostarczanie mu faktów jak najwięcej, byleby te były w istocie ważne, a nadto miały za sobą potwierdzenie osób zasługujących na wiarę bezwzględną.

Nie dodawszy do przedstawienia uczonego astronoma ani jednej uwagi własnej, czujemy się w obowiązku powiedzenia od siebie słów kilku. Wielokrotnie zapytywano nas, dlaczego w epoce, która zaznaczyła się tylu poszukiwaniami w dziedzinie tak nazywanej wiedzy tajemnej—śledzenia zjawisk uznawanych jako nadprzyrodzone, w epoce badań nad związkiem duszy z ciałem i prac mających na celu objaśnienie wielu stanów psychicznych — dlaczego tak skąpo udzielamy czytelnikom wiadomości z ruchu umysłowego w tym kierunku.

Odpowiemy krótko: dlatego, że między dziełami autorów zdradzających interesowanie się tym rodzajem dochodzeń, nader mało jest prac opatrzonych taką powagą imienia, jak ta, z której obecnie zdajemy sprawę. Ile razy idzie o Flamarionów, Crookesów, Richetów, Lombrosów i Ochorowiczów, po tylekroć gotowi jesteśmy służyć streszczeniami ich zapatrywań i poglądów w zakresie możności naszej. Gorącem życzeniem naszem było i jest zawsze, aby sprawa ta—jak wszystko wskazuje nader doniosła dla nauki, nie wychodziła krokiem poza sferę ludzi oddanych fizyce, badaniom przyrodniczym, fizyologii zarówno jak studyom psychologicznym — jednem słowem ludzi naukowych w ścisłem znaczeniu. Na dylletantyzm, ciekawość próżniaczą, uganianie się za wrażeniami i nowością niema tu wcale miejsca, i jeśli jakim sposobem, to nie z pomocą ludzi grzeszących jedną z tych wad, odchyli się kiedykolwiek rąbek chociażby drobny zasłony tego, co zowiemy dotąd jednem słowem: Niepoznawalne.

Zresztą dlaczego to ma być przedmiotem rozrywki? Wszak jest ich tyle — tyle sportów, tyle sposobów miłego zabicia czasu. O szkodliwości dla zdrowia podobnych prób i doświadczeń prowadzonych przez amatorów pomówimy przy sposobności.

S.

Śmierć serca.

Jesienne liście lecą...
Wiatr szumi... Cienie błękit nieba chmurzą...
Z nad zwiędłej róży uciekły motyle...
...Pocóż ci było kwitnąć biedna różo,
Na jedną chwilę?..

Jesienne liście lecą...
Powietrzem idzie szum ostry z drzew matni,
Jak płacz niw zżętych, jak pośmiertna skarga,
Jakby rozpękłej struny jęk ostatni...
I dziwnym bólem bez słów duszę targa...
...To pożegnanie słońca... Nad mogiłą
Już wzeszły suche, kolczate badyle...
I po coś, po coś słońce zaświeciło
Na jedną chwilę?..

Jesienne liście lecą...
Chłód mnie ogarnia... O, chłód to jest śmierci!
Idzie posępna, z lodowym oddechem,
Ale nie spokój niesie... Duszę w ćwierci
Rozdziera z cichym, szyderskim półśmiechem...
Chłód mnie ogarnia..., Więc za marzeń tyle,
Za tyle pragnień—ach, za takie męki
Nic—nad słoneczną, jedną jasną chwilę,
Nic—nad garść pustych słów—rozwiane dźwięki...
Nic... Więc do grobu aż *nic* ponieść trzeba,
Wieczną, okrutną pustkę... Nieskończona
Pustka, poczęta gdzieś w bezkresach nieba,
Pustka—jak kruk w ślad krocząca po świecie...
A przecież słońce nie zgasło... a przecie
Zaświeci innym... choć to serce skona...
Oh, pustko, pustko, pustko nieskończona!..
To śmierć jest... Śmierć... śmierć... po czole styg-
[nącem
Głębokie cienie przedzgonne się plotą...
Me myśli idą za zagasłem słońcem
Z bezbrzeżnym żalem, z bezdenną tęsknotą...
Jesienne liście lecą...

Marion.

PRACA KOBIETY.

Wiadomem jest powszechnie, że w całym świecie cywilizowanym uprzedzenie przeciwko pracy kobiety należy już do przeszłości, że jedna społeczność otwiera tej pracy całe podwoje, inna oględniej przystępuje do dzieła reformy, ale takich krajów i państw, gdzieby sama zasada zwalczaną była, nie znamy. Są tylko różnice liczebne, właściwie mówiąc, a i samo ujednostajnienie wynagrodzeń za tę pracę jest także bardzo rozmaicie pojmowane, nie mówiąc już o tem, że co do urzędów państwowych, to jedne są dla kobiet schroniskiem prawie wyłącznem, podczas gdy do innych przystęp ciągle dotąd utrudniony. Takiem uprzywilejowanem polem zarobku jest dla kobiet wszędzie prawie zarząd poczt, telegrafów i telefonów. W Stanach Zjednoczonych jest tam w stosunku do mężkiego personelu służbowego 25 procent sił kobie-

cych. W Szwajcaryi w tej samej gałęzi stawia kobieta skuteczną konkurencyę mężczyźnie. Hiszpania i Hollandya mają urzędy pocztowe obsadzone przeważnie kobietami, a w Szwecyi przewagę nawet liczebną uzyskały kobiety. W Norwegii i Danii przy równym podziale między mężczyznę i kobietę urzędów w tych biurach, jest godnem zanotowania, że co do płacy mamy zupełne zrównanie w prawach, czego gdzieindziej nie znajdujemy bynajmniej. O Ameryce niema co mówić, bo tam jak wiadomo, we wszystkich urzędach państwowych pracują już armie całe sekretarek, stenografek, archiwistek i buchhalterek, spełniających swoje obowiązki wzorowo, i odpowiednio zupełnie do zasług wynagradzanych. Brazylia i Kolumbia idą śladem Stanów Zjednoczonych, a w Chili znajdujemy kobiety nawet w służbie ruchu, są bowiem już oddawna konduktorkami tramwajów.

Francya daje pracę kobiecie, daje ją nawet chętnie, ale dotąd odnośnie do wynagrodzeń za tę pracę i do samego nawet wyboru stanowisk okazuje się nader zachowawczą. Między motywami naprzykład, z jakich wyszli promotorowie sprawy przypuszczenia kobiety do służby państwowej, znajdujemy i taki:

„Nie można wogóle nic powiedzieć przeciwko myśli zfeminizowania biur, na niższych mianowicie szczeblach hierarchii urzędniczej, albowiem kopiowanie, korespondencya, robienie kopert, albo zeszywanie akt, są to czynności nie wymagające wielkiego kunsztu ani znacznego natężenia siły, a jako zysk czysty zastosowania tej metody pozostaje państwu w każdym razie znaczna rubryka oszczędności.”

Otóż ta oszczędność nie wydaje nam się dosyć moralną w zasadzie, a przeto i dosyć zaszczytną dla takiej potęgi materyalnej i moralnej, jaką przedstawia państwo. Pospolicie wysuwane naprzód preteksty niższego uzdolnienia i mniejszych wymagań kobiety nie stanowią właściwie żadnego argumentu, i mogłyby one ujść zaledwie jakiemuś korzennikowi, gdy się ten przed opinią z zarzucanego mu wyzysku oczyścić pragnie. Tu jest mowa o posadzie, którą po mężczyźnie obejmuje kobieta. Za jednaką usługę to samo wynagrodzenie. Innej zasady słuszność przyjąć nie pozwala. O ile nadto stosowanie tej, którą się posiłkuje zbiorowość dzisiejsza, tyczy się słabszych, mniej poradnych, a pracujących produkcyjnie, o tyle potworniej przedstawia się sądowi bezstronnemu. Przypatrzmy się teraz liczebnemu stosunkowi kobiet na urzędowaniach we Francyi, gdyż tę tylko statystykę mamy w danej chwili pod ręką.

Ogółem w instytucyach państwowych, spotykamy kobiet zamężnych i niezamężnych na stanowiskach urzędniczek i robotnic razem 80,000 z górą.

Najliczniej, jak łatwo się domyślać, są one reprezentowane w ministeryum oświaty, gdzie na posadach nauczycielek, profesorek, dyrektorek i buchhalterek jest ich razem 54,000, wedle ostatnich wykazów.

Ministeryum finansów zatrudnia 17,000 kobiet, między któremi są urzędujące w rozmaitych wydziałach i robotnice w fabrykach tytoniu.

Ministeryum poczt i telegrafów ma na posadach poborczyń, ekspedytorek i innych urzędach administracyjnych razem 6,000 kobiet.

W całej administracyi państwowej ma się stosunek urzędujących kobiet do mężczyzn jak 19:100, ale też i wysokość wynagrodzeń nie wiele przekracza te 19%, co jak już nadmieniliśmy, uważać należy stanowczo jako krzywdę.

Co do stosunku liczebnego obu płci w każdem z ministeryów, rzeczy mają się tak:

Na 100 urzędujących jest kobiet:

w ministeryum oświaty	45
Rękodzieła państwowe	80
w ministeryum poczt i telegrafów	8
„ spraw wewnętrznych, licząc w to dozorczynie więzienne i dozorczynie przytułków w wydziale dobroczynności	13

Oprócz tego w rozmaitych biurach, a mianowicie: marynarki, ogółem kobiet 150, i w kancelaryach biur instytucyi legii honorowej 100.

Znaczną ilość kobiet zatrudniają zakłady wychowawcze Legii Honorowej w St.-Denis, Ecouen i Loges. Zajmują tam posady inspektorek i nauczycielek.

Co do płacy, to zdaje się, że poniżej umieszczona tabela wykaże najlepiej słuszność zapatrywań naszych. Wykazy roku ostatniego mówią nam, że na różnych stanowiskach jest kobiet:

430	pobierających	rocznie	od	200	do	300 fr.
1,500	„	„	„	300	„	400
15,000	„	„	„	700	„	900
54,000	„	„	„	900	„	1000
5,000	„	„	„	1300	„	1500

Wyjątkowo wysokie pensye znajdują się w ministeryum oświaty, ale tych jest bardzo niewiele. Dyrektorki liceów pobierają od 4,000 do 5,500 fr., a w Paryżu 6,000 fr. pobiera jedna tylko nadintendentka zakładów Legii Honorowej. Podrzędniejsze posady nauczycielek są bardzo skąpe; nie przenoszą one przeciętnie 900 franków.

Jak widzimy, ma się kobieta o co upominać u ogółu; źle tylko będzie dla godności tego ogółu, jeśli wymiar sprawiedliwości każe długo na siebie oczekiwać, i jeśli nastąpi dzięki przymusowi moralnemu, wywartemu przez pokrzywdzone. Koncesye uzyskane na tej drodze nigdy się nie obchodzą bez ujmy dla tego, który bywa do nich zniewolonym, bez względu czy to jest indywiduum, czy zbiorowość, czy osoba moralna, za jaką brać należy państwo.

R.

Ze smutnych kartek.

OPOWIADANIE.

Kochali się bardzo i nie rozłączali zię prawie nigdy. Była to miłość ogromnie oddana, poświęcająca się i bezinteresowna z jego strony, z jej zaś—łaskawie przyjmująca przywiązanie. On się nazywał Pul, a ona Lalusia, gdyż nie byli to *on* i *ona* w zwykłem tych wyrazów znaczeniu. Pul był wspaniały terreneuve z miękką, lśniącą szerścią, a Lalusia wypieszczona jedynaczka, ukochanie mamusi i tatusia, wiotka blondyneczka o ciemnych, nad wiek poważnych i zadumanych oczach.

Jej to zawdzięczał Pul swą oryginalną nazwę, gdyż właściwe jego imię brzmiało o wiele wspanialej, ale i trudniej, a że Lalusia mitologii nie znała i starała się wszystko nazywać indywidualnie, więc i Cerber został nazwany przez nią Pulem, a ona sama Lalą lub Lalusią. Pul dostał się wraz z innymi podarunkami ślubnymi matce Lalusi od brata; w pierwszych latach po jej ślubie czuł się bardzo osamotnionym, bo czyż można przypuszczać, aby młode małżeństwo w miodowych miesiącach myślało o moralnych potrzebach psa? A jednak wszelkie wygody zapewnione nie wystarczały biednemu Pulcwi, czuł on bowiem w sobie wielki zasób przywiązania, którego nie miał na kogo przelać.

Gdy przyszła na świat Lalusia, Pul z ogromnem zaciekawieniem i pewnym rodzajem niedowierzania spoglądał na owo małe, krzykliwe stworzenie, które jednak wkrótce przejednało go swą bezsilnością.

Nieraz znajdywano Pula przy kołysce Lalusi, przyglądającego się dziewczynce z wielkiem zajęciem, które następnie przerodziło się w głębokie przywiązanie.

Kiedy Lalusia zaczęła z mamą wyjeżdżać na przechadzkę, Pul kroczył poważnie obok jej wózka i groźnie warczał na przechodniów, którzy zbyt natrętnie przyglądali się lub zbliżali do jego malutkiej pani.

Dziewczynka tak się przyzwyczaiła do swego kudłatego towarzysza, iż zaraz po wyrazach: „mama” i „tata,” nauczyła się wołać: „Pul!” Gdy Pul wyjątkowo opuszczał ją na czas jakiś, malutka zalewała się łzami, wołając: „Lala cie Pula.”

Pul służył jej za dywan i poduszkę, bawiła ją jego jedwabista szerść i długie uszy, za które nieraz niemiłosiernie go ciągnęła, co on jednak z prawdziwym stoicyzmem znosił. Nieraz niańka na przechadzce oddalała się od dziecka, zostawiając je pod opieką Pula; wówczas pies, pojmując swój obowiązek sumienniej od najmitki, nie pozwalał nikomu zbliżyć się do Lalusi.

Wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy znali z widzenia malutką, śliczną dziewczynkę, nie lubiącą ani zabawek, ani lalek, ani nawet igraszek z innemi dziećmi, a serdecznie rozradowaną tylko w towarzystwie Pula.

Pewnego razu Lalusia obudziła się z bólem głowy i silną gorączką, która długo, długo

nie chciała jej opuścić. Pul nie odchodził od łóżeczka dziewczynki i patrzył na nią z ogromnem współczuciem smutnemi, bardzo smutnemi oczyma. Lalusia prawie nie poznawała swego wiernego towarzysza, lecz w rzadkich chwilach przytomności tuliła swą złotą, rozpaloną główkę do jego wiernej, tak bardzo do niej przywiązanej, głowy.

Wtem stało się coś takiego, co przechodziło pojęcie Pula. Lalusia leżała zimna i nieruchoma w swojem łóżeczku, i pomimo największych starań, nie zwracała na niego uwagi.

Gdy Lalusię ubrali w białą sukienkę i położyli w maleńkiej trumience, Pul zawył przeciągle, i tak jak niegdyś przy kołysce dziecka, ułożył się przy jego trumnie, warcząc głucho na wszystkich, co się do niej zbliżali. Gdy obcy, nieznani mu ludzie chcieli trumienkę zamknąć i zabrać jego Lalusię, pies dostał napadu istnej wściekłości; rzucał się i gryzł posługaczy pogrzebowych, biegał od trumienki do łkającej matki, jakby chciał ją prosić o pomoc dla Lalusi, i nie mógł pojąć, dlaczego jej nie broni. Z największym trudem zaledwie zdołano go zamknąć w sąsiednim pokoju, gdzie wył i drapał drzwi, a gdy usłyszał oddalające się kroki ludzi unoszących jego Lalusię, rzucił się całą siłą na niedomknięte w pośpiechu okno, i wypadł z drugiego piętra na bruk. Spełniło się jednak jego życzenie: jeszcze raz zobaczył swoją Lalusię, którą znosili w chwilkę potem ze schodów; podniósł głowę, chciał wstać, jęknął głucho i skonał.

Biedny Pul!

Z. C. Stankiewiczówna.

Z piśmiennictw obcych.

Ile razy dojdzie nas wiadomość o pracy kobiecej w nauce, literaturze albo w dziedzinie sztuki, spieszymy, aby się nią podzielić z czytelniczkami naszemi w przekonaniu, że nawet wśród tych kobiet, które o feminizmie dzisiejszym nic wiedzieć nie chcą, istnieje pewne uczucie solidarności niewieściej, dające im szczere zadowolenie na wieść o każdym tego rodzaju tryumfie, a choćby tylko wyróżnieniu.

Jest to zresztą zupełnie naturalnem; zbyt długo kobiecie szukającej bytu zaprzeczano prawa zdobywania tego bytu przy pomocy nauki, zbyt namiętnie zwalczano jej intellektualną równość, iżby każda praca dokonana przez nią w jednej z tych dziedzin, nie miała się jej przedstawiać jako rodzaj moralnego odwetu.

Nie uważajmy odwetu za jedno z mściwością—pragnienie odwetu jest uczuciem zupełnie etycznem, zwłaszcza gdy je bierzemy w znaczeniu zadosyćuczynienia.

Dlatego na czele sprawozdania dzisiejszego z ruchu literackiego obcego, kładziemy pracę kobiety ogłoszoną w języku angielskim. Jest ona napisaną przez p. Arabellę Kenealy dr. medycyny i mówi o wielkich niebezpieczeństwach zagrażających kobiecie, która się oddaje ćwiczeniom atletycznym. Przez te ostatnie rozumie autorka wszelkiego rodzaju wysiłek mięśniowy wyższy nad normę. Muskuły dzieli p. Kenealy na dwa rodzaje: na działające za wpływem naszej woli i na inne, których działalność jest natury czysto automatycznej. Krzywda, jaka dotyka organizm kobiecy ze strony ćwiczeń atletycznych polega właśnie na dawaniu przewagi pierwszym nad drugimi. Ilekroć razy równowaga tego stosunku jest naruszoną, tyle razy organizm cierpi i ubożeje. W kobiecie poddanej takim ćwiczeniom w wieku młodym, zanika wdzięk dzieciństwa przedewszystkiem, w dalszym ciągu staje się ona fizycznie antypatyczną a pospolitą pod względem moralnym, nie dosięga nigdy prawidłowego rozwoju w porządku przez naturę wskazanym, a owszem zatrzymuje się w stadyum dzieciństwa wraz z jego suchymi konturami budowy, sprowadzającymi nieuniknione zwyrodnienie kształtów. Z przykrością zaznacza autorka, że obserwacya na szeroką skalę dała jej przekonanie o pojawieniu się coraz częstszem tego typu niefortunnego wśród kobiet współczesnych.

Pani Kenealy idzie w obserwacyi swojej dalej jeszcze; powiada ona, że niestety następstwa nadużywania siły muskularnej u kobiet, nie ograniczają się do jednego tylko zwyrodnienia form zewnętrznych i zatraty niewieściego powabu. Przekonały bowiem badania szczegółowe ostatniej epoki, że znaczny bardzo procent kobiet takich podlega wcześniej lub później najstraszniejszemu z cierpień nieuleczalnych, mianowicie chorobie raka.

Zdaje się, że tego jednego wystarczyłoby, aby powstrzymać rodziców czy opiekunów kobiet młodych od wszelkich narzuconych przez modę współczesną sportów forsownych, i wogóle ćwiczeń, mających za cel złudną nadzieję nadania ustrojowi niewieściemu siły i sprężystości, których mu poskąpiła przyroda. Wszystko co się robi wbrew niezłomnym prawom tej tworzycielki, czy to w zakresie fizycznym, czy w dziedzinie praw moralnych nigdy jednostkom ani społeczeństwom nie wychodzi na dobre.

Nie próbujmy nigdy poprawiać stworzenia.

W ostatnich pracach Renana znajdujemy myśli dotyczące organizowania się przyszłych ustrojów społeczeństw ludzkich wogóle, a francuzkiego w szczególności. Niejasno przedstawiały się znakomitemu uczonemu warunki tego bytu; wspomina, że wartości moralne obniżają się, że chyba przyjdzie do tego, iż na miejscu miłości i poświęcenia rozsiądzie się uorganizowany egoizm. Pocieszały go uwagi o rozwijającem się uczuciu solidarności i braterstwa w ludzkości, w które jak się pokazuje wierzył przed śmiercią. Zawsze wierzymy w to, czego pragniemy najmocniej.

Wśród wielu prac współczesnych socyologów traktujących te same zagadnienia, ukazało się dzieło Alfreda Fouillée, w którem ten stara się określić istotę postępu społecznego we Francyi. Powiada że trudnem jest tutaj niezmiernie wydobycie prawdy z pośród chaosu ukrywających ją najsprzeczniejszych objawów. Robi zarzut końcowi zeszłego stulecia, że pozostawiając ludzi wolnymi, równymi i związanymi rzekomem braterstwem, nie zrobił nic, aby ich uczynić takimi w rzeczywistości. Całym i jedynym rezultatem dokonanych przeobrażeń było zastąpienie jednego przywileju, przywilejem innym. Bogactwo narzuciło się społeczeństwu nowemu ze swojem wszechwładztwem, i ono potworzyło różnice między ludźmi. Obok trucizny wyrasta jednakże lekarstwo i w przyrodzie, i w świecie praw moralnych, niemniej i w warunkach kształtowania się społeczeństw całych. Głównym przymiotem tych nowych warunków bytu stała się praca wraz z jej pomocnicą—oszczędnością — ona rozdrobniła bogactwo i przypuściła do przyjęcia w niem udziału miliony ludzkie. Francyę uważa Fouillée jako ziemię, na której ten objaw najbardziej w oczy uderza, i aby to okazać na przykładzie, stawia społeczeństwo francuzkie obok angielskiego.

W Anglii żyje 200,000 kapitalistów mających mienie swoje ulokowane w długu obciążającym państwo, i tych przeciętny dochód na głowę wynosi 2,850 franków, jako procent od owego kapitału—Francya takich wierzycieli państwa ma 4 miliony, a procenta każdego z nich odcinane w kuponach wynoszą tylko 400 franków. Cóż za olbrzymia różnica pod względem rozdrobnienia bogactwa—naturalnie różnica na korzyść Francyi. Na jednego angielskiego właściciela renty państwowej przypada 20 takich właścicieli we Francyi, a są to wszystko drobni pracownicy, ludzie małych środków, wytrwałej oszczędności, którzy gromadzony grosz do grosza powierzają nie spekulacyi, nie hazardowi, ale najbezpieczniejszej, choć najmniejsze procenta przynoszącej lokacyi państwowej. Te zasoby rozdzielane są na 8,600,000 książeczek wydanych przez rozproszone po całym kraju kasy oszczędności, do których instynktowo, a dzisiaj już nałogowo, można powiedzieć, znosi zawartość swoich skarbonek urzędnik państwowy, zarówno jak prywatny i mały rolnik, i rzemieślnik zawodowy, i robotnik fabryczny nawet, odbierający za najmniej zyskowny z zarobków umówioną płacę dzienną.

Juścić wychodząc ze słusznego zupełnie założenia, że niewyczerpanem źródłem demoralizacyi w narodzie jest częste przechodzenie mienia z rąk jednych do drugich, nie można się dziwić, że pochlebia francuzom ten wysoki stopień rozdrobnienia w ich kraju ogólnego bogactwa, i że w tym objawie widzą i wzrastającą powszechną pomyślność, i najbezpieczniejszy zarazem szaniec przeciw duchowi wewnętrznego przewrotu, który z tego punktu oświetlenia przedstawiać się musi koniecznie powierzchowniejszym, niż go nam zbyt usłużne dziennikarstwo często przedstawiać usiłuje. Z innej strony może się ukazywać niebezpieczeństwo, można go słusznie dopatrywać w obyczajach, w stopniowem, a ciągłem chyleniu się ducha zbiorowego ku materyalizmowi, jeśli nieświadomemu, to instynktowemu chociażby, ale co do własności, ma francuz przeciętny głowę szczególnie zdrową i utrwalone pojęcia o konieczności pracy i oszczędności.

(*Dokończenie nastąpi*).

KRONIKA.

Teatr.

O potrzebie wskrzeszania Moliera na naszej scenie i ewentualnem jego powodzeniu pisaliśmy już niejednokrotnie, nieporównanie jednak więcej od nas poświęcały i poświęcają zawsze czasu i miejsca tej sprawie te pisma wszystkie, dla których teatr stanowi jedną z kwestyj najżywotniejszych, które informują czytelników swoich najszczegółowiej o przymiotach lub wadach każdej sztuki wystawionej, o właściwem lub niewłaściwem obsadzeniu w niej ról, o grze aktorów dobrej, mniej dobrej albo złej zupełnie. Pokazuje się jednakże, że te informacye nie są na naszym gruncie dostateczne, pokazuje się, że w pismach codziennych, a przedewszystkiem brukowych, brak jest pewnych jeszcze jasnych, szczerych i otwartych ocen, któreby ludziom mniej obeznanym z tendencyą, barwą i tonem autorów, dawały odrazu poznać, czy sztuka jakaś obca im zupełnie może nauczyć, oświecić, a choćby godziwie zabawić młodzież, czy ma ona służyć ku rozrywce ludzi dojrzałych i oświeconych, albo nakoniec czy ucieszną być może tylko dla publiczności pracującej po kredensach i garderobach.

Przekonywamy się coraz bardziej, że objaśnienia tego rodzaju u nas, mianowicie co do autorów takich jak Molière, byłyby koniecznemi, bo tylko ich niedostatkowi przypisać możemy znajdowanie się w teatrze pod opieką zwłaszcza ludzi starszych, takiej ilości uczniów szkół, a nadewszystko tylu dziewcząt młodych w wieku między 10 a 15 rokiem, jak to miało miejsce w tygodniu ubiegłym. Afisz oznajmiał dwie sztuki: Moliera „Chorego z przywidzenia“ i „Męża i żonę“ Fredry.

Najwyraźniej nie wszyscy znają Molièra, nie wszyscy jak widać wiedzą o Fredrze tyle, wiele wiedzieć powinni, bo jużciż jeśli ostatnio wzmiankowanej komedyi nikt za budującą a choćby z jakiegokolwiek względu odpowiednią dla dzieci nie uzna z pewnością, toć przecie na „Chorego z przywidzenia“ nie mogłaby przyprowadzić córki swojej w jakimkolwiek wieku żadna z matek, której zależy na tem, aby nie obrażać uszu młodych trywialną obrzydliwością, nie licującą ani z epoką wogóle, ani z duchem nastroju towarzyskiego naszych warstw oświeconych. Widzieliśmy w teatrze przeważnie młodzież i to młodzież niedojrzałą, i wyznamy, że przykro uderzyła nas naiwność pewnej np. matki, która aż trzy różnego wieku między 12 a 18 rokiem córeczki przywiodła na te gody, i która widząc przecież, co jest tłem sztuki i na co się w dalszym ciągu zanosi, czuła się w obowiązku odsiedzenia pieniędzy wydanych na bilety.

Dobroczynność.

Donoszą pisma codzienne, że hr. K. Branicki przeznacza na instytucyę dobroczynną sumę osiągniętą ze sprzedaży posesyi przy ulicy Daniłowiczowskiej, noszącej nazwę „Biblioteki Załuskich.“ Znaczny ten fundusz użytym będzie na budowę w Pruszkowie gmachu dla pomieszczenia w nim chorych nieuleczalnych. Na zakupionym obszernym placu wzniesioną będzie budowla, której koszta podają na 30,000 rs., na utrzymanie zaś instytucyi przeznacza hr. Branicki kwotę 12,000 rs. rocznie, tyle bowiem przynosiła dotąd posesya przy ulicy Daniłowiczowskiej.

Założony i utrzymywany kosztem p. Lenvala zakład sierot po robotnikach warszawskich, mieszczący się przy ulicy Litewskiej, daje obecnie przytułek 43 chłopcom, z których 13 starszych korzysta z nauki rzemiosł na mieście u różnych majstrów. W ogrodzie tej posesyi wykończy się w jesieni pawilon, przeznaczony na internat dla chłopców starszych, którzy na przyszłość będą tym sposobem oddzieleni od młodszych wiekiem.

Kongres stowarzyszeń opieki nad dziećmi.

Zwołany po raz pierwszy do Florencyi w roku 1896, ma się w myśl zapadłej, tam uchwały odbyć w roku bieżącym w Peszcie, pomiędzy 12 a 18 Września pod prezydyum pp. Teleki'ego i Rakowsky'ego. Celem tego kongresu, jak opiewa § 1 jego porządku dziennego, jest omawianie tych wszystkich kwestyi i popieranie tych usiłowań, które mają na widoku dobro małoletnich pozbawionych opieki bez różnicy ich wieku, płci, rasy i religii — jedynie tylko opierając się na najogólniej pojętem uczuciu ludzkości. Wykluczone więc będą z toku obrad wszelkie kwestye, spory i polemiki, potrącające w bliższym lub dalszym stopniu o narodowość, wyznanie i stronnictwo. Członkiem kongresu może być każdy delegat jakiegokolwiek stowarzyszenia, mającego jako cel opiekę nad dziećmi, albo osoba teoretycznie lub praktycznie oddająca się pracy pedagogicznej. Z kongresem połączona będzie wystawa wszelkich przedmiotów lub prac pozostających w związku z zadaniami wychowawczemi lub wychowawczo-naukowemi.

Co do porządku obrad, podzielił kongres czynności swoje między 5 sekcyi, a mianowicie: 1) lekarską—2) prawną—3) pedagogiczną—4) dobroczynną i 5) wychowawczą. Cały zatem zakres prac, w którym pomieścić można obowiązki społeczeństw względem dzieci opuszczonych i sierot. Przytoczymy przedmioty, jakie między innymi mają być roztrząsane w jednej z tych sekcyi czy oddziałów.

I. Czy dzieci powierzone opiece publicznej wychowują się pomyślniej w zakładach specyalnych, czy też w rodzinach. II. Jak urządzać zgodnie z postępem zakłady poprawcze? III. Korzystanie z feryi szkolnych połączyć z doskonaleniem się duchowém dziecka. IV. Skłonność do kłamstwa i żebractwa. Użycie środków zapobiegających. V. Rzecz o cieleśnie lub duchowo upośledzonych: epileptykach, głuchoniemych i idyotach.

Z tematów najogólniejszego znaczenia, które omawiane będą na kongresie Peszteńskim, przytoczymy poniżej dwa:

I. Czy wogóle daje się uczuwać w naszych czasach dążenie w dzieciach do przedwczesnej dojrzałości, i jakimi środkami reagować należy przeciw temu prądowi?

II. Czem grzeszy współczesna dziecinna i nie dziecinna literatura przeciw należycie pojętej metodzie wychowania dziecka?

Wskazówki i rady.

Strudel na drożdżach z serem lub makiem.

Rozczynić kwartę mąki z 2 łutami drożdży rozrobionemi w kwaterce mleka, dołożyć 2 łyżki młodej śmietany i osiem samych żółtek; gdy będzie dobrze rozrobione, postawić aby podrosło, a gdy podrośnie wyrzucić ciasto na stolnicę mąką posypaną, rozciągnąć ręką na okrągło o ile się tylko da, i posmarować całe ciasto farszem z sera lub maku. To jest funt twarogu wyciśniętego dobrze w serwecie z serwatki rozetrzeć z czterema żółtkami, pełną łyżką cukru, pół łyżką masła i odrobiną tłuczonego cynamonu lub jakim kto lubi zapachem. Jeżeli zaś makiem, to mak w wilię tego dnia sparzyć gorącą wodą, a następnie namoczyć w wodzie, odlać i uwiercić z cukrem i kilkoma tłuczonymi migdałami. Maku pół funta jest dostateczne. Posmarowane ciasto zwinąć jak naleśnik i ułożyć w ślimaka na głęboką patelnię grubo masłem wysmarowaną, bułką wysypaną, postawić w ciepłem miejscu dla rośnięcia i gdy wyrośnie powyżej brzegów, wstawić w bardzo gorący piec na pół godziny najmniej. Ta proporcya wystarcza na 10 osób.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa

Lekarz-Dentysta A. Zawadzki
Jerozolimska Nr. 49. (róg Marszałkowskiej) 13.

Dentysta H. Libkind-Lubodziecki
Żórawia 16, mieszk. 12, róg Kruczej. 96

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Biuro pomocy prawnej
dla drobnych kupców i rzemieślników
(Adw. Stanisław Pawiński, Władysław Korycki, Józef Ostroróg-Sadowski i Wacław Laskowski) przeniesiono na ulicę **Świętokrzyska № 5.** 88
Biuro otwarte od 10 rano do 3-ej po połud.

Nagrodzona na wystawach w Niżnim Nowgorodzie i Kijowie
FABRYKA
portyer, kap, serwet pluszowych i wełnianych.
A. SILBERSZTEJNA
22 Leszno 22
przyjmuje wszelkie wyszycia na różnych materyałach 112

W Zakładzie Naukowym Żeńskim
z pensyonatem i kl. przygotowawczą
Bronisławy Golańskiej
Warszawa, Krucza 37.
Zapis uczenic odbywa się codziennie. Warunki przystępne. Konwersacya w obcych językach, korepetycye, tańce i lekcye muzyki. Zapewnia się troskliwą opiekę. 95
Egzamina rozpoczną się z dniem **25 sierpnia.**

Zakład Stolarski
D. SIARKIEWICZA
w Warszawie,
Grzybowska Nr. 62.
Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe, budowlane, urządzenia sklepowe i t. d.
Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 19

LABORATORYUM **Chemiczno-Farmaceutyczne** **Apteki M. MALINOWSKIEGO** **w Warszawie, Nowy-Świat 35, telefonu 190** 94 wyrabia **mydła** lekarskie **przetłuszczone:** Borne, Benzoesowe, Lanolinowe, Lecznicze, Wazelinowe **udelikatniające i chronią, ce skórę od pękania i łuszczenia się; antyseptyczne** oraz zastosowywane przy różnego rodzaju chorobach skóry przez lekarzy.

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

N. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

ŻÓRAWIA Nr. 9.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. Na czas wakacyi ceny kroju zniżone. 92

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. **K. Kruszyński i L. Miciński**

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-40

STEFAN TERTUS Z ODESSY

(Firma egzystuje od 1864 roku).

Otworzył Filię Składów Herbaty: Chińskiej i Cejlońskiej

w Warszawie, Senatorska Nr. 4.

Uwaga. Komisya Sewastopolska po analizie produktów spożywczych i napojów, uznała herbatę **Stefana Tertusa** za czystą i bez wszelkich domieszek obcych liści i różnych farbowań. (Kr. Wiestn. z dnia 10/22 1897 r. za Nr. 324).

Zarządzający filią **M. Lisser.** 76

Fabryka Gorsetów WIŚNIEWSKIEJ

PRZENIESIONA

Czysta Nr. 8,

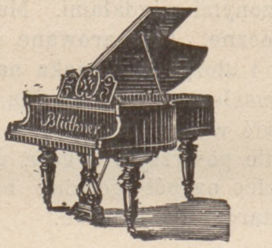
poleca gorsety skośne w najpiękniejszych fasonach od 6 rubli.

79 *Marja Wiśniewska.*

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

71 G NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Pianin  *Fortepianów i Organów*

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

JAN REIMANN

Fabryka biżuteryi i ozdobnej galanteryi



z Czeskich granatów.

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 43.

Fabryka i skład główny w Pradze (Czeskiej) Příkopy 10.

Filje: w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Karlsbadzie, Cieplicach. 113

W zakładzie naukowym 3-klasowym

z kursem ściśle gimnazyalnym nauczycielki rządowego progimnazyum

STEFANII TARKOWSKIEJ

Chłodna 37.

zapisy pensyonarek, półpensyonarek i przychodnich przyjmują się codziennie od godz. 11 do 6. Egzamina wstępne 28 i 30 Sierpnia. Lekcye rozpoczną się 5 Września. 106

SZKOŁA RĘKODZIELNICZA DLA KOBIET

K. Mączyńskiej

Mazowiecka 11 m. 8.

Przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki na krój, szycie krawieczyzny i bielizny, haft biały, kolorowy, złotem i srebrem. Malowanie, wypalanie, rysunki, pończosznictwo, roboty włóczkowe, stroje, koszykarstwo. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa z cechu krawieckiego. 100

Program na żądanie wysyła się

RĘKAWICZKI

tanio 108

mocno szyte poleca pracownia

HENRYKA KOWALKIEWICZA

Gracka 27 sklep przy ul. Chmielnej

! Obstalunki na garnitury Jelenie !

SZKOŁA TAŃCÓW

Henryka Czarneckiego

Marszałkowska 111.

Udzielam lekcyi prywat. w zakład. nauk. i u siebie. 119

MAGAZYN MEBLI **A. JÓZEFOWICZA** 98 **Nowy Świat Nr. 28.** Życzącym *na Raty.*

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froebelowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 8

Magazyn Bławatny

L. KUMMANT

Marszałkowska № 101

poleca na nadchodzący sezon:

Wielki wybór nowości na suknie, peleryny i żakiety. Wszelkie podszewki jedwabne i bawełniane. Bieliznę stołową, płótna, pół-płótna i perkale.

Wielki wybór materyałów na mundurki. 104

Pracownia Haftów

maszynowych

JÓZEFA DULMANA,

Ś-to Jerska 21, m. 8.

drugi dom od rogu Nalewek.

Specyalnie wykonywa hafty na okryciach i sukniach damskich: jedwabiem, sutaszem, dżetem oraz srebrem i złotem. Fabryka sprowadza cztery razy do roku najświeższe desenie z zagranicy. Przyjmuje też do haftu monogramy na kołdrach i paltotach. Zamówienia z prowincyi wykonywa predko. 97

Ceny umiarkowane.

Sztuczna Cerownia i Pralnia

FIRANEK i KORONEK

Teofili Zalewskiej

103 Królewska 45 – 12.

KSIĘGARNIA

Gebethnera i Wolffa

w Warszawie

poleca do NAUKI

JĘZYKÓW OBCYCH

Berger H. **ŁATWA METODA** gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka **ANGIELSKIEGO** z pomocą lub bez pomocy nauczyciela. (Z wymową polską przy każdem słowie). Z kluczem. Wydanie nowe. Rb. 1.50, w oprawie płóciennej Rb. 1.80.

— **ŁATWA METODA** gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka **FRANCUSKIEGO** z pomocą lub bez pomocy nauczyciela. (Z wymową polską przy każdem słowie). Z kluczem. Rb. 1, w oprawie płóc. Rb. 1.30.

— **ŁATWA METODA** gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka **NIEMIECKIEGO** z pomocą lub bez pomocy nauczyciela (Z uwzględnieniem najnowszych badań języka). Z kluczem. Wydanie nowe. Rb. 1, w oprawie płóciennej Rb. 1.30.

Słownik Polsko - Francuski i Francusko-Polski t. zw. „Emigracyjny" największy i najdokładniejszy z istniejących, ułożyli **Kazimierski i Ropelowski.** Wydanie nowe. Rb. 6, w oprawie Rb. 7.

ODDZIELNIE: Część polsko-francuska Rb. 5, w oprawie Rb. 5.70.

Część francusko-polska Rb. 2, w oprawie Rb. 2.60.

Słownik polsko - niemiecki i niemiecko-polski kieszonkowy, do użytku prywatnego, w kantorach i szkołach, ułożył **prof. Piotr Parylak.** W oprawie Rb. 1.50. 116

Łyżki, widelce, noże, **oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem** po cenach możliwie nizkich **TEOFIL PYCZ 4, Miodowa 4, w arszawie.**

MAGAZYN

„Au Printemps"

z powodu powiększenia pracowni sukien oraz wprowadzenia z nadchodzącym sezonem jesiennym **odziału kapeluszy,** przeniesiony został na ulicę 110

Hr. Berga Nr. 6, 1-sze piętro.

Szkoła Żeńska Prywatna

ALEKSANDRY HENISZ

Nowogrodzka № 33 róg Marszałkowskiej.

Przyjmuje dzieci od lat 7 do 15 tu. Przygotowuje do gimnazjum. Języki francuzki i niemiecki. 109

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. TOWARY NORYMBERSKIE. **Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: Antonina Plichta ul. Ś-to Krzyska Nr 8.**

Дозволено Цензурою Варшава 25 Августа 1899 г. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Córka bankiera była w całej słodyczy tego wyrazu, dobrem, łagodnem stworzeniem. Kochała męża z niemiecka trochę, idealnie ale prawdziwie. Znakomity ród hrabiego ćmił ją blaskiem, gdy była jeszcze panną, gdy sama siebie strofowała za szalone marzenia o związku z pierwszym w kraju paniczem. Skoro jednak sprawa raz została postanowioną, a bardziej, gdy ksiądz wymówił ostatnie słowa zaklęcia na wieczność, panna Karolina postradała z oczu wzgląd na mężowskie pargaminy, widziała tylko przed sobą przedmiot swoich uczuć, przyzwyczaiła się do tytułu hrabiny, jak gdyby sama w książęcych pieluchach była zrodzoną.

Córka bankiera patrzyła w męża, jak w cudowny obraz. Z natury swej cicha, potulna, każdą oznakę uczucia przyjmowała za łaskę, sama zdawała się jeno prosić o pozwolenie nieograniczonego ubóstwiania towarzysza dni swoich.

Wilczek uczuł się rozbrojonym z niepotrzebnych obaw; wzruszyła go wdzięczność żony za to, że zaślubiając ją, sam sobie dopomógł, że chwycił się bankierównej, jako ostatniej gałązki ratunku.

Hrabia miał serce szlachetne. Wyzwolony z kłopotów, zmęczony przeszłością, widział przed sobą szeroką, wolną od wszelkich frasunków przyszłość. Wstręt i pogarda zdjęły go naraz do konwulsyjnych popędów i uciech dawnego życia, zapragnął wytchnienia, spokoju, zamiany nawet bytu bezcelowego na inny, więcej zaspakajający tajemne głosy sumienia, głosy, które tem częściej się w nim odzywały, im głębiej brał rozbrat z przywykami młodości.

Zachceń tych, na nieszczęście, nie było na czem osadzić; sumienie wskazywało stronę, ale drogi nie wytykało bynajmniej. Czczość ogarniała Wilczka; w wywianej z zasad myśli, w woli swawolą dotąd się objawiającej, nadaremnie szukał podstawy i wyraźnych kształtów dla mglistych, niepewnych swoich zamiarów.

Do wspomnień ubiegłych lat nie było po co się odwoływać, chyba w razie wyprawienia Baltazarowej jakiej biesiady.

Pierwsze chwile po małżeństwie, Wilczek spędził na pieniężnej spowiedzi przed teściem i na urządzaniu swoich interesów.

Dahlman chwytał się nieraz za głowę, kurczył na widok koniecznych wypłat, jak gdyby ostatnie żyły mu wypruwano; Wilczek nazywał go ojcem, z miasta tłumy sypały się co dnia z powinszowaniami świetnego związku, służba i pisarze z kantoru co chwila nazywali go baronem; bankier na gwałt oczyszczał hypoteki zięcia, niektóre przytem pomyślne obroty podwoiły w nim siły, czuł się jeszcze rzeźwym i przy natężeniu pracy sposobnym do powetowania strat, poniesionych przez małżeństwo córki.

Tymczasem, młoda hrabina, z nazwiska jak z dostatków musiała być pierwszą panią; Dahlman zamykał oczy na cyfry, a kasę coraz szerzej otwierał.

Łatwo odgadnąć, że ster interesów aż do zupełnego ich wyczyszczenia teść przyjął na siebie; dawał pieniądze i doświadczenie, dwa warunki jakich zięć całkiem był pozbawiony.

Wilczek pomagał mu tylko w podrzędnych zachodach, objaśniał—nowe tajemnice długów odkrywał.

O pewnych godzinach, teść z zięciem codziennie odbywali narady. Wilczek pamiętny na wymogi i zwyczaje kupieckie, punktualnie stawiał się o naznaczonej porze, i w tej nawet chwili, co mu pierwszy raz się zdarzało, od kwadransa przeszło samotnie przechadzał się w teściowym gabinecie, czekał cierpliwie, co go również po raz pierwszy spotykało.

Dahlman nie przychodził, chybiał umowy; zatrzymywały go gdzieś ważne zapewne zatrudnienia. Nic dziwnego; od pewnego czasu, w dwójnasób przybyło mu interesów i stosunków. Możni panowie galicyjscy, ludzie jak wiadomo postępowi, bynajmniej nie wzięli jednemu ze swoich za złe, połączenia z świeżo uszlachconą rodziną; każdy na jego miejscu byłby podobnie postąpił. Tłoczono się do państwa młodych z odwiedzinami, wyścigano w przyjęciach, w oznakach przyjaźni, szacunku, poważania.

Dahlman ustawał pod ciężarem spraw własnych, interesów zięcia, zapraszań i odwiedzin; przy niezmordowanej czynności zaledwie mógł wystarczyć potrójnym obowiązkom bankiera, hrabiowskiego teścia i barona. Nic zatem dziwnego, że dawał na siebie czekać, że nie przybywał.

Wilczek z założonemi na piersiach rękami, rzucił się w szerokie krzesło. Kilka plik papierów, tyczących się jego majątku, leżało wyzywając właścicielską ciekawość; szczegóły te obchodziły głównie prawdziwego na nich znawcę, bankiera; hrabia skłonił głowę ku piersiom i wpadł w głębokie marzenia.

— Swoboda, dostatki, znaczenie!... — mówił w duszy przebiegłszy myślą teraźniejsze swoje stanowisko — trzy główne warunki życia zapewnione, zabezpieczone na zawsze!... Spokoju nic odtąd nie zakłóci, nawet żona, dobra, cicha istota, rada za każde spojrzenie, wdzięczna za każde słowo, szczęśliwa za każdy uścisk.

— I cóż dalej — jakimże odtąd strumieniem życie zechce popłynąć?...

— Zostać we Lwowie, szukać już nie ucieczki, ale rozkoszy w zgiełkliwem towarzystwie ludzi, którzy po większej części ostatkiem goniąc, pędzą na oślep? Przenieść się do Wiednia, i tam?... Tam co innego! — Wiedeń nie Lwowem; w Wiedniu przypomną sobie, że Dahlman od wczoraj dopiero baronem; w Wiedniu znajdą się tacy, którzy przed żoną moją... przed hrabiną...

Nie, nie!... Co mi po Wiedniu i po jego zabawach; lepiej być pierwszym w swojej okolicy niż jednym z drugich w największem mieście. U siebie na wsi, w moim pałacu, takim pan jak cesarz w swoim dworcu.

— Więc wracać na wieś!... osiąść na swoim majątku, przyjmować znowu przyjaciół, gości, cały ten orszak hałaśny, który niegdyś dom mi roztrząsał! Ludzie ci zechcą tak samo gospodarować jak za bezżennych moich czasów, pomyślą może, że pani hrabina nie z wysokiego rodu, nieprzyzwyczajona do wykwintnego obejścia, że pijatyka, gra, hałas, w niczem jej nieubliżą?

— Zwolna Mości Panowie! żaden z was nie nadużyje dobroci hrabiny; pierwszy, któryby się odważył, któryby zapomniał, że progi starego domu Wilczków o jeden włos się nie obniżyły — ciężko zapomnienie przypłaci.

— Znowu więc kłótnie, znów zwady i pojedynki!...

— Nie — przysiągłem i słowa dotrzymam. Lepiej nie dawać im powodu, lepiej odrazu dać uczuć, że Wilczek rad zawsze widzi znajomych, że gościnnie przyjmuje, ale nikogo nie zaprasza, że między dawnym trybem życia a nowym niema i nie będzie żadnego podobieństwa. Dawne zwyczaje spłonęły z ostatnim pożarem; dziś, byt i budowle, wszystko odbudowane na nowo; zdeptana pochodnia szalonego życia i Bóg świadkiem, że nie ja pokuszę się ją rozpalić.

— Czyliż swoboda wiejska, przy tkliwych staraniach żony, przy spokojnych gospodarskich rozrywkach, przeplatana odwiedzinami kilku wybranych przyjaciół, nie stokroć milsza od tego opętanego, całorocznego kuligu?

— Wiejska swoboda!... Ach, przez dwanaście miesięcy na rok zawsze taż sama swoboda, co pora też same rozrywki, codzień też same zatrudnienia, co chwila te same twarze!...

— Jakież zatrudnienia?... gospodarstwo, drobnostkowe wglądanie w masę nędznych szczegółów, sprzeczki o garść słomy, rozmysły nad deszczem i pogodą, nieskończone narady z ograniczonym ekonomem, ciągły widok biedy wyczłowieczonego chłopa, zawsze i wszędzie jedno i to samo — ach, przy takiem życiu i dostatki zbrzydną, i spokój zamieni się w śmiertelną nudotę; dni staną ciężarem, każdy rok jedno więcej ogniwo do łańcucha udręczeń będzie dokuwał!...

Wilczek nasępił czoło, patrzył przed siebie błędnemi oczyma, gdy wtem zbudził go lekki szmer otwierających się drzwi.

Zerwał się, poskoczył, już chciał teścia powitać przyjacielską za spóźnienie wymówką; cofnął się na krok; nie Dahlmana postać ujrzał przed sobą.

Zebrał myśli dla przywiedzenia na pamięć dobrze znajomych mu rysów. Niedługo szukał. Za pierwszem słowem poznał w przychodniu Piotra Poraja.

Od czasu pamiętnego zajścia, z młodszym bratem niezszedł się nigdzie; starszego po raz pierwszy spotykał.

Wilczek, ze spokojnem sumieniem mógł nie poznać Piotra; czas, wielki snycerz umie gdy zechce, ludzi przedłutowywać. Poraj podstarzał się przynajmniej o lat jakie dziesiątek; wąs mu zupełnie pobielał, głębokie zmarszczki wystąpiły na lica, poorały czoło. I wzrok szlachcica nie strzelał jak dawniej, śmiałem, wesołem spojrzeniem, i ciało wyraźnie gięło się ku ziemi, niby przygniecione ciężkiem brzemieniem zawcześnie spadłej starości.

Piotr, widno nie używał, ale dożywał życia. Ciągle oddany pracy i od pewnego czasu nienawidzący miasta, rzadko kiedy bywał we Lwowie. Własne sprawy nigdy nie powoływały go do galicyjskiej stolicy; Sokolnika interesa, którym wyłącznie się oddawał, wymagały nieprzerwanego pobytu na miejscu, i gwoli tylko tym ostatnim, w obecnej chwili, zjawiał się u bankiera dla wypłacenia mu reszty jego wierzytelności pozostałych na dobrach magnata.

Majątek Sokolnika był wydźwignięty; hypoteki wypielone wszelkich długów, wyjąwszy z summ zaliczonych mu przez Poraja, od których dygnitarz dla przyzwoitości tylko, słaby procent opłacał, podczas gdy wierzyciel o zwrot kapitału wcale się nie uprzykrzał. Powoli, bez żadnego natężenia, rocznemi upłatami i ten ostatni dług miał zniknąć.

Piotr dokazał dzieła olbrzymiego, na pozór prawie niepodobnego; żelazną pracą, znakomitą zręcznością, poświęceniem bez granic, nastarczył i wierzycielskim wymogom i sutym potrzebom właściciela, wyłożył ogromny trud, nieustanny dozór; najbieglejszych przemyślników, okolicę całą otrzymanemi wypadkami zadziwił, ale swojego celu nie dopiął, trosk w pracy nie zaprzepaścił.

Samotność, brak istot, którym nietylko poświęcenie, ale serce i duszę byłby zaofiarował, gorzkiemi kroplami trucizną zapuszczały mu w żyły. Rozbrat z Kazimierzem trwał ciągle; przypadkowe spotkanie byłoby ich zapewne pogodziło, przypadek atoli właśnie przeciwko nim się oświadczył.

Piotr nieraz pochlebiał Fortunie, szukał zejścia, stawał na drogach, gdzie mniemał, że musi wpaść w oko swemu wychowańcowi; napróżno!... Gęsty obłok zdawał się przesłaniać obu braci; pierwszego kroku — jak w podobnych wypadkach się zdarza, żaden nie chciał uczynić, do drugiego — żaden, przy najszczerszej może woli, nie znajdował sposobności.

Piotr często, zdjęty rozpaczą, postanawiał złożyć pychę z serca, obiecywał sobie nazajutrz kazać zaprządz, ruszyć wprost do brata, wpaść na niego obcesem, obłożyć go ciężkimi wyrzuty, uściskać, jeszcze raz wyburczyć, i znowu uściskać i więcej już się z nim nie rozstawać.

Nadchodziło jutro; brakowało mu na postanowieniu; odkładał na dalszy czas lub cieszył się nadzieją, że sam przypadek nastręczy szczęśliwą, pożądaną schadzkę.

Los nie odpowiadał jego oczekiwaniom; zgryzota i smutek ponury z każdym dniem żądło zapuszczały mu w serce; Poraj zaczynał już poczuwać w sobie brak sił odpornych — zwątpienie brało w nim górę nad odwagą i nad nadzieją.

Wilczek oddawna z oczu stracił braci Porajów — z pamięci zajście z Kazimierzem. W natłoku podobnych wydarzeń, nie było powodu zastanawiać się nad tem, więcej niż nad innemi. Zjawienie starszego brata przywiodło mu na myśl ubiegłe koleje; cofnął się draśnięty niemiłem wrażeniem, jakie budzi pamięć niesprawiedliwego postępku; z ochotą byłby uniknął spotkania — zaklął w duszy służbie, która nieostrzegła przychodnia, ze bankiera nie było w domu.

Wstępne to wrażenie przemignęło błyskawicą.

Wilczek doskonale pamiętał dzielną postać Piotra, swobodne, wesołe jego oblicze; uderzyła go nadzwyczajna w nim zmiana—bystrem okiem rozejrzał hieroglify cierpienia, wypisane na tej szlachetnej twarzy; nieszczęście widocznie zamroczyło pogodne niegdyś czoło i chyliło ku ziemi rozpromienioną życiem postawę.

Zięć bankiera znał wartość Piotra, pamiętał szacunek, jakiego tenże powszechnie używał; Spółczucie, a może i cień dalekiego wyrzutu ścisnęły go za piersi; postąpił i wyciągając dłoń ku gościowi, rzekł łagodnym głosem:

— Teść mój wyszedł — wkrótce zapewne wróci; jeśli potrafię Pana zatrzymać, jestem pewien, że będzie mi niesłychanie wdzięcznym.

— Bardzo dziękuję — odrzekł Piotr zmięszany nieco widokiem Wilczka; zapewne przeszkadzam — zastałem pana nad papierami; powrócę później.

— Bynajmniej — mogę zaręczyć; z przyjemnością dotrzymam panu towarzystwa — we dwóch może prędzej się doczekamy.

Poraj zimno uśmiechnął się na stereotypowy galicyjski żart, ujęty atoli uprzejmem obejściem, nie miał odwagi zdobyć się na odmowę; wreszcie, pomimo dotkliwych wspomnień, jakie młody panicz rozbudzał mu w duszy, nie żywił ku niemu zaciętych gniewów. W sercu Piotra było tylko miejsce na żal, na smutek, na gorycz i tęsknotę; czysta jego dusza niedozwalała przystępu osobistym namiętnościom. W nieszczęściu, los jeno umiał oskarżać; w pomyślnej doli, ludziom wyłącznie przypisywał zasługę. Przychylne słowo nigdy nie znajdowało go obojętnym; z pośpiechem zabiegał drogę ludzkim względom, i za szeląg uprzejmości płacił złotem szczerego uczucia.

Wilczek, jak wiadomo, nie takich ludzi potrafił ugłaskiwać; z łatwością przyszło mu ująć prostoduszną naturę. Po kilku chwilach obojętnej, wstępnej wymiany słów, Piotr usadowiony w głównem krześle gabinetu, swobodnie odpowiadał na zapytania hrabiego i nawzajem wypytywał go o potoczne, miejskie szczegóły.

Rzecz mimowolnie zatoczyła się kilka razy wedle ostatniego małżeństwa.

— Rzadko kiedy bywam w mieście — mówił Poraj — chyba zmuszony koniecznemi sprawami, rad jestem atoli, żem dziś zabłądził w te strony, zyskałem bowiem sposobność powinszowania panu świetnego związku. W naszym kraju, pierwszem powołaniem jest gospodarstwo, samotny zaś człowiek — niech mi co chcą mówią, nie może być dobrym gospodarzem.

— Nie zawsze — odparł Wilczek z uśmiechem; mam w tej chwili kogoś przed sobą, kto przeciwnego zdania najoczywistszym jest dowodem.

— O mnie mowa — rzekł Piotr, trzęsąc głową; przyjmuję grzeczność, ale wcale nie za wyrok na prawdziwą zasługę. Ja urodziłem się z tą jedną tylko namiętnością; w zaspokajaniu jej znajdowałem najwyższą nagrodę, goniłem za pracą jak drudzy za rozkoszą. Żyjąc inaczej, byłbym umarł z nudów, z mojej więc strony, przypuściwszy nawet, że godzien jestem pochlebnych pańskich słów, nie ma żadnej zasługi. Kto przez rozum, kto przez wolę pracuje, tego na pierwszem miejscu sadzać należy.

— Bezwątpienia, ależ wola i rozum nie przedstawiają dostatecznych pobudek; są to jedynie środki. Trud wiejskiej pracy, męczące początki, łatwe do zniesienia temu, kto założył sobie konieczny jakiś cel, lub kogo pędzi nieubłagana potrzeba. Komu jednak natura odmówiła szczególnego upodobania w walce ze skąpstwem ziemi, kto ma zapewniony kęs chleba i umie poprzestać na swojem, dlatego — wyznam otwarcie, gospodarstwo nieprzezwyciężoną męką.

— Mylisz się, panie hrabio; każda praca jako zwalczona trudność, jako jedyny dowód godności i wartości człowieka, otwiera już tem samem źródło niepojętych zadowoleń. Miło sercu, gdy w przeszłości ma na czem wzrok wypocząć. Człowiek o tyle człowiekiem, o ile w czynie się nim pokazał. Rozumiem atoli niedostateczność moralnej pobudki; jesteśmy ludźmi z ciała i z duszy, i nie samem uczuciem żyjemy. Kto pracuje tylko dla pracy, temu zarówno siać zboże lub kółka kreślić na piasku. Potrzeba innych jeszcze bodźców. Zysk, korzyść, zbogacenie — do pewnego stopnia, godziwe podniety — nie przeczę; do pewnego stopnia, powtarzam, skoro bowiem człowiek uwyłączni się w tym jednym celu, praca jego, wkrótce zaciąży na nim jak przekleństwo. Trud dla chciwości, dla skąpstwa, dla zbierania bogactw, na równej linii stawiam z rozbojem. W takim razie, nad podobną pracę, przenoszę otwarte marnotrawstwo. Ostatnie niekiedy łączy się z dobrem sercem przynajmniej.

Praca, panie hrabio, jest Bożem, świętem narzędziem; bluźnierstwem darmo je niszczyć lub używać do nędznych, samolubnych celów.

(Dalszy ciąg nastąpi).
